

– 32 proc., to w roku 2014 proporcje się niemal odwróciły: pierwszą podało 39 proc., zaś drugą – 52 proc. Zauważmy, że w tym badaniu Kościół został utożsamiony z hierarchiczną instytucją! Podobna sytuacja ma miejsce w obszarze moralności: osób, które za źródło moralności uznają prawa Boże (których wyrazicielem jest instytucja kościelna), było 27 proc. w roku 2005, a 19 proc. – w 2013. Podejrzewam, że trend się utrzymuje i teraz takich odpowiedzi byłoby jeszcze mniej.

Myślowy teologiczny ferment, niebanalne analizy dotyczące sytuacji chrześcijaństwa, próby sformułowania jakichś odpowiedzi – nie znajdziemy tego raczej na sklerykalizowanych wydziałach teologicznych. Jeśli już, to w czasopiśmie i na portalach internetowych tworzonych zasadniczo przez środowiska „świeckich” (umieszczam ten termin w cudzysłowie, by zaznaczyć swój dystans do tej kategorii – według mnie jest ona adekwatną kategorią socjologiczną, traktowana zaś jako kategoria teologiczna zafałszowuje ewangeliczną wizję wspólnoty uczniów Jezusa).

Jeśli zatem gdzieś szukać nadziei na ożywienie chrześcijaństwa w Polsce, to – moim zdaniem – nie w instytucjach hierarchicznych, lecz w rozmaitych środowiskach ludzi „świeckich”. W pewnym sensie oznacza to „wymianę elit” – gdyż elitą Kościoła w Polsce w dającej się przewidzieć przyszłości nie będą raczej hierarchowie (albo bardziej dokładnie: w elicie polskich katolików nie będzie zbyt wielu hierarchów). ■

Tomasz P. Terlikowski

Uwielbiam czytać, a zdarzało mi się także pisać, wielkie teksty o szczególnej roli, jaką Bóg przewidział dla Polski w historii świata i Kościoła. Mesjanizm jako postawa duchowa i tradycja polskości jest mi bliski i naprawdę lubię postrzegać naszą historię przez ten pryzmat. Publicysta jednak, poza własnymi ulubionymi postawami światopoglądowymi czy filozoficznymi (a może lepiej powiedzieć religijno-mistycznymi), musi analizować rzeczywistość taką, jaka ona jest, a nie przedstawiać ją taką, jaką powinna/mogłaby być czy jaką chciałby on ją postrzegać. A rzeczywistość jest taka, że wszystkie obietnice, jakie składa Bóg, są zawsze warunkowe, a ich wypełnienie zależy od decyzji ludzi. W Polsce zaś wiele wskazuje na to, że takiej decyzji ani nawet świadomej woli jej podjęcia – przynajmniej na razie – nie ma.

To właśnie dlatego niewiele wskazuje na to, byśmy mieli uniknąć zjawisk, jakie dotknęły i zniszczyły Kościół w krajach zachodnich. Laicyzacja, choć odłożona w czasie i wyraźnie opóźniona w stosunku do innych krajów, dotarła także do Polski i nie wydaje się, byśmy mieli dobry pomysł na jej zatrzymanie. Młodzież odchodzi od Kościoła, rezygnuje z praktyk, coraz częściej także z sakramentów, zanikają zwyczaje związane z religią (nawet jeśli wcześniej były one wypełniane jedynie z przyczyn kulturowych, to i tak pozostawały nośnikiem pewnych postaw religijnych i życiowych). Małżeństwo nie

jest już oczywistym wyborem, chrzest dzieci coraz częściej staje się kwestią osobistej decyzji, a ich religijne wychowanie – nawet w rodzinach nominalnie katolickich – wcale nie jest kwestią priorytetową. Jeszcze gorzej jest, jeśli chodzi o postawy życiowe. Nie, nie chodzi mi o to, że ludzie grzeszą czy łamią nauczanie Kościoła – tak było zawsze – ale o to, że obecnie uznają, że mają do tego prawo, że sami decydują o tym, co jest, a co nie jest moralne, i że Kościół jest tylko jednym z wielu głosów, które biorą pod uwagę, gdy podejmują decyzje. Jego stanowisko jest kwestionowane i odrzucane, a miejsce spójnej moralności czy modelu życia katolickiego zajmują aktualne mody, porady psychologów czy prosty antykatolicki resentyment. Dobrobyt, który wykończył chrześcijaństwo w Irlandii, dociera także do Polski, a liberalno-postępowy model życia prezentowany przez media zastępuje ten przekazywany w domu. Naiwną pozostaje obecnie wiara w moc ludowego katolicyzmu, ten ostatni bowiem przestaje istnieć, wypierany przez mody promowane w telewizjach i kolorowych czasopismach. Owszem, są jeszcze miejsca, gdzie istnieje nacisk na chodzenie do kościoła, ale nie przekłada się on na życiowe decyzje, a co gorsza, nie wytrzymuje próby przeprowadzki do innego ośrodka. Efektem jest coraz szybsza laicyzacja.

Błędy Kościoła (mowa tu zarówno o komunikacji, jak i o uleganiu „duchowi czasu” w kwestii seksualności czy formacji kapłanów), ale także zmasowana, międzynarodowa medialna akcja osłabia-

nia jego autorytetu poprzez nagłaśnianie i jednostronne przedstawianie skandali seksualnych (a dokładniej uznania, że jedyną instytucją za nie odpowiedzialną jest Kościół) jeszcze przyspieszają ten proces. Dostarczają one – co ważne w Polsce – argumentów tym, którzy już nie praktykują, ale brakuje im odwagi, by jasno określić się jako niewierzący. Afery pedofilskie, krycie księży homoseksualistów, a także siła homolobby, również w polskim Kościele, osłabiają świadectwo wiary i sprawiają, że słabsi w wierze znajdują dobre usprawiedliwienie swoich decyzji. A obraz Kościoła sprawia, że wcale nie jest łatwo szukać w nim strawy duchowej. Wszystko to, mimo że widać także symptomy nadziei (pełne konfesjonały, adoracje Najświętszego Sakramentu, w których można uczestniczyć w coraz większej liczbie świątyń, rozwój wspólnot i ruchów, nawrócenia celebrytów itd.), pozwala formułować tezę, że polski Kościół już jest na drodze do laicyzacji na wzór irlandzki czy hiszpański. Powolnej, ale trwałej, a do tego połączonej z coraz ostrzejszym antyklerykalizmem, który będzie istotnym faktorem na naszej scenie politycznej.

Procesy te wzmacnia niestety postawa Kościoła w minionych trzydziestu latach. Ciepłarniane warunki (a tak je trzeba określić), wsparcie otrzymywane także od partii nominalnie antyklerykalnych czy antychrześcijańskich, zastąpienie rodzimego duszpasterstwa i własnej ewangelizacji działaniami św. Jana Pawła II, jak również zablokowanie (będące skutkiem komunizmu i pierwszych lat wolnej Pol-

ski) wewnętrznej debaty, która uchodzi za pranie brudów na zewnątrz, sprawiły, że wspólnota katolicka w Polsce nie nauczyła się walczyć o przetrwanie w trudnych warunkach laicyzującego się, coraz częściej wrogiego chrześcijaństwu świata. Normalnym modelem działania ogromnej większości pasterzy jest konformizm, ustępowanie w kwestiach kontrowersyjnych, a także wtórność w działaniu. Jeśli dodać do tego kolonizację mentalną katolicyzmu przez polityczność, to obraz stanie się pełny. Efektem jest to, że nie istnieje własna agenda tematyczna, każda próba narzucania własnych problemów do rozwiązania jest uznawana za radykalizm, ewentualnie niepotrzebne jątrzenie, a katolicyzm sprowadzany jest do deklaracji, względnie bycia przeciw pewnym nurtom ideologicznym (ale już bez potrzeby realnego im przeciwdziałania). Brak natomiast własnych propozycji, budowania społeczeństwa alternatywnego, nonkonformizmu także w polityce. W najlepszym wypadku za taki nonkonformizm uchodzą patriotyzm i prawicowość, a ich agenda staje się agendą katolicką. Ma to oczywiście także pozytywny wymiar, bowiem w efekcie w Polsce istnieją jednak różne nurty debaty, ale niszczy odrębność intelektualną i duchową katolicyzmu.

Groźne jest także dla przyszłości Kościoła skupienie na uzyskiwaniu wsparcia państwa dla pewnych działań i instytucji. Katecheza może, warto o tym pamiętać, wylecieć ze szkół, uniwersytety coraz szybciej się laicyzują, a procesom tym podlega również szkolnictwo kościelne.

Dlatego bez zbudowania własnych instytucji, i to opartych na finansowaniu spoza budżetu państwa, niewiele da się zbudować na trwałych fundamentach. To jednak wymaga odwagi, a niekiedy przeciwstawienia się także kościelnemu mainstreamowi. W Polsce aż się prosi o budowanie instytucji św. Jana Pawła II, pism, think tanków czy instytucji badawczych, które zgłębiałyby dziedzictwo papieskie. I co? I nic, bo biskupi polscy boją się nawet zorganizować oficjalne obchody stulecia narodzin Karola Wojtyły, by nie narazić się Watykanowi. Jeśli zaś coś budują świeccy, to często ostatecznie zostaje to odrzucone jako niepodlegające pełnej kontroli albo zbyt niezależne od obecnej linii.

I nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miało się to zmienić. Kościół hierarchiczny jest podzielony, zaskoczony tym, co dzieje się w Stolicy Apostolskiej, niezdolny do spójnej i jednoznacznej reakcji. Nawet jeśli wśród biskupów znajdują się jednostki wybitne, to grupowy model działania pozbawia ich możliwości samodzielnego działania, a brak zaplecza intelektualnego i duchowego nie daje fundamentów. Świeccy zaangażowani katolicy zbyt często skupieni są (prymat bycia nad zaangażowaniem) na zdobywaniu środków koniecznych do życia i funkcjonowania, a brak jest instytucji, które mogłyby wykorzystać ich potencjał. Jeśli coś ich wchłania, to życie polityczne, ale to w Polsce jest na tyle mocno plemiennie określone, że jasne świadectwo katolickie jest bardzo utrudnione. W najbliższym

czasie nic się raczej nie zmieni, a zatem czeka nas najpierw coraz szybszy upadek marzeń o potęgę, a potem... powolne odbudowywanie katolickiego stylu życia i działania. Nic to dla nas nowego. Już tak było w XIX wieku. Jeśli teraz też pojawią się świeccy i duchowni na miarę bł. Edmunda Bojanowskiego, Bohdana Jańskiego, Cypriana Kamila Norwida, ks. Piotra Semenki, bł. Marceliny Darowskiej i wielu, wielu innych, to jest nadzieja na wyjście z kryzysu. Warto pamiętać, że laicyzacja nie jest procesem nieuchronnym, bo „duch dziejów” nie istnieje. ■

Ks. Jarosław Tomaszewski

1

Jeśli chcemy żyć w Kościele pochodzącym z Chrystusa, to z gruntu trzeba zapomnieć o etapach stabilności, czyli bezruchu, świętego spokoju. Ale o jakiej rewolucji jest tu mowa? Można stwierdzić, że Kościół na Zachodzie dotknęła podwójna fala rewolucji. Po pierwsze, Kościół stanął wobec powszechnej w wymiarze życia publicznego rewolucji antywartości: poczynając od legendarnego ruchu hipisowskiego, przez modę na zmianę znaczenia seksualności, wyniszczenie rodziny, zwariowane tempo pracy i kariery aż do eksperymentów z nałogami oraz inżynierię w przestrzeni płciowości. Po drugie, do jakiejś też rewolucji doszło na Zachodzie w wymiarze dyscypliny wewnętrzności życia: od lekceważenia sakralności kultu przez dążenie do coraz

większego luzowania sposobu funkcjonowania apostołatu osób poświęconych Bogu, protestantyzację katolicyzmu, ekstrawagancję w myśleniu teologicznym, etycznym, biblijnym czy filozoficznym, nabywanie ducha światowości, modernizm aż do teologii wyzwolenia. W tak zwanych latach posoborowych te dwie quasi-rewolucje przeszły obok, wszereż, wzdłuż i chyba w poprzek Kościoła na Zachodzie. Ośmielię się powiedzieć, że w konfrontacji tak z rewoltą zewnętrzną, jak i wewnętrzną Kościół nie zdobył się na skuteczną reakcję ani nie znalazł powszechnego modelu udzielania odpowiedzi czy reagowania. Raczej poniósł szereg porażek. Kościół miał co najmniej dwóch gigantycznej wagi przywódców, którzy na poziomie myślenia i apostołatu zmierzyl się z rewolucyjną falą zachodniej kultury. Mam na myśli Jana Pawła II i Benedykta XVI. W przypadku pierwszego giganta katolicy skupili się jednak raczej na happeningu jego barwnej osobowości, nie zagłębiając się w Wojtyłańskie przesłanie – znów wygrała ponowoczesna rewolucja, bo kremówek nie starczyło za argumenty. W przypadku drugiego reakcja jakby następowała z opóźnieniem: musiał odejść do klasztoru, żeby wszyscy postukali się w głowy, mówiąc: jaki to był mądry człowiek...

Uważam, że Kościół katolicki w Polsce nie musiał stawić czoła żadnej z tych dwóch opisanych wyżej rewolucji. Katolicyzmu polskiego nie dosięgnęła ani etyczna degrengolada kultury, ani umyślne psucie formacji kleru i osób konsekrowa-